TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........$1.00

Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 43. Chicago, Ill., Czwartek, 27-go Października, 1898. Rok XII.

FR. HOFFMAN.

HRABIA I NIEDŹWIEDZIARZ.

PRZEŁOŻYŁA,

PAULINA Z L. WILKOŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Rządca domu udał się wprost do mieszkania starej szafarki Zuzanny, pomrukując sobie przez całą drogę. Gdy stanął u drzwi, zapukał w nie grzecznie Zuzanna otworzyła i prosiła, ażeby wszedł.

Zasiedli następnie oboje i Sztajn jej opowiadał, co zaszło: na co kobiecina odrzekła, że podejrzenie pana rządzcy jak najzupełniej podziela.

— Nasz pan, hrabia Robert, — mówiła Zuzanna, — jest aż nadto dobry i szlachetny. Ileż on starań dokładał, by tego pana Albina na lepszą wprowadzić drogę. Lecz był to groch o ścianę rzucony. Panicz szumiał i hulał, dopóki całego nie przepuścił majątku. Gdyby mu hrabia Robert był jaką wyznaczył pensyjkę, to i wtedy byłby się wspaniałomyślnym okazał. Ale to jemu się zdawało niedostatecznie, uchowaj Boże! Zaprosił raczej niegodziwego marnotrawcę do Sokolnicza, a teraz żyje on tu, jak niegdyś w Petersburga, gdy jeszcze był oficerem, huczno i butno, jak gdyby to on był dziedzicem majętności całej, ladaco wierutne! I jak gdyby hrabia Robert nic nie miał do rozkazania. Nie umiem wypowiedzieć, jaki wstręt czuję do tego człowieka w głębi duszy i serca.

— Tam samo, jak i ja, pani Zuzanno. — dodał rządzca, Ow niecnota Albin udaje przyjaźń, kochanie, wielką czułość, i Bóg wie co wszystko dla naszego pana i Felcia,

a nienawidzi ich w duszy, na tobym przysiągł, i radby obudwóch zgładzić ze świata. Byłoć byto na rękę temu łotrzykowi, gdyby tak wszystkie mógł zagarnąć dobra i zamki! Ale, nie doczeka on się tego! Cóż pani Zuzanna na to?

— Ja myślę, — odrzekła zacna niewiasta z przyciskiem, — że jest obowiązkiem naszym i powinnością, jako sług dawnych i wiernych, czuwać nad panem i synkiem jego, strzedz ich od złego, jak oka w głowie. To jest moje zdanie, a nie wątpić, że i wasze, panie Sztajn!

— Na to przysięgam, pani Zuzanno, — zawołał starzec. — Nie strudzę się nigdy, śledząc krok każdy tego Albina. A nie spuszczajmy z oka małego Felcia!

— Przyrzekam, że uczynię co tylko będę mogła. Kocham to chłopię, bom i matkę jego kochała, która niestety! zgasła zbyt rychło. To też nad nim będę czuwała, jakby nad własnem dzieckiem. Nieboszczka była dla mnie zawsze bardzo dobrą, mój Boże, doglądała i w chorobie, to i jakżeżbym o tem pamietać nie miała?

— Więc zgoda, pani Zuzanno! — i podał jej rękę stary rządzca, — zobaczymy, czyli my dwoje poczciwych ludzi nie zdołamy odeprzeć wszelkie postępy i niecne knowania tego nikczemnika.

Uścisnęli sobie ręce nawzajem i zawarli przymierze ku obronie pana dobrego i jego synka. Poczem Sztajn starą przyjaciółkę pożegnał i do swoich obowiązkowych udał się czynności.

Pani Zuzanna, po wyjściu jego głęboko się zamyślała. A potem, ocknąwszy się, powiedziała: "Sztajn ma słuszność! Ten pan Albin niebezpiecznym jest człowiekiem! Musimy czuwać!"

Stara kobiecina, dawna sługa rodziny hrabiowskiej w Sokolniczu, wierna i przywiązana, nie myliła się bynajmniej co do charakteru hrabiego Albina, tak samo, jak i jej sprzymierzeniec, poczciwy Sztajn. Hrabia Albin był rzeczywiście złym i podstępnym człowiekiem, który od żadnego nie uchyliłby się występku, gdyby przez to mógł osięgnąć majątek i znaczenie. A w położeniu jego dzisiejszem nawet mu i szczególniej o to chodziło. Był on jednym krewnym hrabiego Roberta, który na pograniczu Polski rozległe posiadał dobra, ogromne lasy i zamki. Jedynie mały Feliks stał jemu na przeszkodzie do tego dziedzictwa, zatem w zepsutem jego sercu powstało nasamprzód życzenie, by stać się panem wielkiego majątku, potem pożądliwość niepokonana, a wreszcie i zamiar występny zgładzenia chłopca w jakibądź sposób ze świata.

Te plany niegodziwe i zbrodnicze ukrywał zręcznie poza udaną wdzięcznością dla Roberta i udanem przywiązaniem dla Feliksa. Więc też pozyskał zupełne zaufanie wielkodusznego kuzyna. Sztajn jednakże i Zuzanna poznali się na nim od razu i nie dali się złudzić gładką i uprzejmą pozornością. Uważali ciągle na niego, a małego Feliksa, odkąd spadł z kucyka, wcale z oczów nie spuszczali.

Czy hrabia Albin poznał się na tem, że go podejrzywają i uważają na niego, niewiadomo. To jednakże było pewnem, że ani Sztajn, ni też Zuzanna w łasce u niego nie byli. Raz nawet już zaczął przeciwko nim intrygować, by ich pozbyć się z zamku. Hrabia Robert jednak odezwał się na to tak energicznie, że już i raz drugi swoich nie powtarzał knowań. Tem też bardziej znienawidził tak Sztajna jak i Zuzannę, widząc w nich najważniejszą przeszkodę do wykonia zamierzonych planów piekielnych.

Po niedopiętym zamierze, przez spadnięcie Feliksa z konia, hrabia Albin pozostał przez czas pewien spokojnym zupełnie. Pędząc dzień po dniu w swobodnej gnuśności kosztem hrabiego Roberta, żyjąc w wygodach zbytkownych nawet, zabawiał się jak mógł najlepiej. Wyjeżdżał to konno, to powozem; polował w rozległych lasach, obfitych w zwierzynę, i łowił ryby w wielkiem jeziorze i stawach. O Feliksa, zdawało się, że nie troszczył się wcale, lubo że za każdym razem, gdy go spotkał, popieścił chłopca i pochlebiał mu. Z wypraw swoich myśliwskich, zawsze mu także coś przynosił, to ptaszka ładnego, którego zastrzelił, to wiewiórkę, którą złapał, to jajko ptasze, które z gniazdka w lesie wybrał.

Chłopczyk tem wszystkiem cieszył się całem sercem dziecięcem przywiązał się do stryja. Razy kilka prosił ojca, by mu po-

olił, towarzyszyć panu Albinowi na ku-
łu, lecz do tego hrabia Robert nie na-
łonił nigdy. Snać niepewne straszyło
przeczucie, że chłopca w rozległych i cie-
nych lasach może jaki spotkać wypadek.
parku zamkowym natomiast pozwalał
przebywać, ile zechce; darował mu na-
et małą fuzyjkę, z której mógł strzelać
wron i ptactwa, będącego tam podosta-
tkiem. Lecz wtedy tylko, gdy stary Sztajn
ył przy nim, ażeby uniknął wszelkiego nie-
zpieczeństwa.

Park w Sokolniczu był bardzo rozległy, ciągał się aż do wielkiego lasu, od któ-go dzieliła go wysoka krata żelazna. Środ-kiem płynął nie szeroki, lecz bystry i głę-boki strumień, na którym kilka zwykłych było mostków; skaliste brzegi tegoż niebo-tyczne cieniły drzewa, stanowiąc wielką i bogatą ozdobę parku.

Feliks tutaj dni całe przepędzał, nie-mal zawsze pod opieką Sztajna, i rozkoszo-wał w urokach natury; hrabia cieszył się bardzo, że chłopczyk tyle poczucia ma dla piękna.

Dnia jednego dał hrabia Robert w obe-cności Albina Sztajnowi rozkaz, by pojechał do dóbr innych z jakiemś rozporządzeniem. Miał dopiero wieczorem powrócić. Zanim jednak poczciwy starzec odjechał, prosił Feliksa, by dziś nie wychodził do parku; albo też, niechajby mu Zuzanna towarzy-szyła, lub który ze służących. Feliks mu to przyrzekł, lecz w chwili potem już zapo-mniał o wszystkiem.

Hrauia Robert niezdrów od dni kilku nie wychodził wcale z pokoju. Albin przy nim siedział lecz był tak niemowny i w złym humorze, że aż raziło.

— Słuchaj Albinie — mówił hrabia — nudzisz się przy mnie, czego ci wcale za złe nie poczytuję, zatem jeżeli mi dobrze życzysz, to wsiądź na koń i przejedź się tro-chę, orzeźwi cię powietrze, a gdy powró-cisz pod wieczór, pewnie będziesz wesel-szym. —

Hrabia Albin nie opierał się temu by-najmniej i w dziesięć minut potem już był przy końcu parku, tuż pod lasem. Tutaj po-wstrzymał wierzchowca, obejrzał się ostro-żnie na wszystkie strony, a żywej nie ujrza-wszy duszy, z konia zeskoczył; uwiązał go przy drzewie, wdrapał się po kratach żela-znych w górę i spuścił się znowu po nich drugą stroną do parku. Szybko dobiegł strumienia i do jednego z mostków; była to kładka tylko z grubych desek. Z łatwo-ścią je popodnosił, powysuwał po jednej stronie więcej na brzeg i tak kładkę ułożył, że ktokolwiek wstąpiłby na nią, musi wpaść w potok. Z uśmiechem złowrogiego zado-wolenia, przypatrywał się przez chwilę dzie-łu swojemu; potem poszedł do drugiej, trze-ciej, czwartej kładki, i wszędzie tej samej niegodziwej dokonał roboty.

"Teraz, ani chybi!" mruknął sobie sza-tańsko. — Głupi chłopak wybiegnie natu-ralnie do parku, jak zawsze, będzie chciał przebiegnąć i na drugą stronę, wejdzie na który z mostków, wleci w potok i z wła-snej winy utopi się, jak kocię! Winszuję mu tej kąpieli! —

Poczem pan Albin pospieszył na po-wrót, przelazł znowu przez kratę, dosiadł konia i w las gęsty pogonił.

W krótkim czasie potem, obudziła się w znudzonym Feliksie ochota pójść do par-ku, i biegać po nim do woli. Fuzyi nie mógł jednak wziąść z sobą, bo starego Sztaj-na nie było. Lecz przecie był Sułtan, wiel-ki, silny, piękny, paradny *nowoziemiec* (pies *Newfoundland* w Ameryce). Duży jak cielę, mocny jak wilk, a łagodny dobry i przy-wiązany, gdyby jagniątko. Feliks spuścił go z łańcucha i cieszył się serdecznie, gdy pies skakał radośnie, poszczekiwał i w su-sach dużych sadził po dziedzińcu, a potem unižał się przed nim, machał pysznym ogo-nem, patrzył mu w oczy i rączki jego lizał.

— Tak jest pięknie, Sułtanku, tak jest pięknie! wołał Feliks, głaszcząc i targając głowę szlachetnego zwierza. — A teraz chodź ze mną do parku, Hejżeha! hop Sułtanie!—

Pies pogonił naprzód, lecz znowu do panicza swojego nawrócił, obskoczył go w koło, pobiegł znowu, i znowu na wołanie Feliksa pospieszył.

W wierzchołkach drzew szumiało, szep-tało ptactwo, to z blizka to z dala wesoło wywodziło śpiewy; słońce błyskotno z ja-snego uśmiechało się błękitu, ciemne rysu-jąc cienie po mchu miękiem, na ziemi usła-

nym. Dzień był przecudny, powietrze ciepłe a świeże, którem Feliks z rozkoszą, całą piersią oddychał.

W parku nikogo nie było widać. Feliks sam jeden skakał po nim. Służba cała zajęta była w pałacu; stajenni, fornale i dziewki w polu. Lecz ta samotność właśnie dogadzała chłopcu, zdawało się jemu, że sam sobie zostawiony jest doroślejszym. Oglądając się, niejedno szczególną jego zwróciło uwagę. Tam stanęła w zaroślu smukła sarenka i dużemi, łagodnemi ślipkami patrzyła na niego, dopóki Sułtan nie szczeknął, i spłoszona nie czmychnęła w gęstwinę; tutaj igrała para wiewiórek, skacząc z gałęzi na gałąź, spuszczając się po pniu i dając susa znowu: po błękitnej przestrzeni krążył ptak wielki, drapieżny, szeroko rozpostarł skrzydła i raz po raz krzyk wydawał wrzaskliwy, który gromadki drobnych ptasząt tak straszył, że aż, zaprzestały wesołego świergotania i pod gęstsze kryły się liści; dalej znowu lis przemknął ze spuszczonym ogonem, ukośne na Feliksa rzucając spojrzenie; a wśród tego obrazu szemrał strumyk, odzwierciedlając brylantowo błyskotne promienie słońca.

Feliks dobiegł do jednego z mostków, lecz nie przeszedł przez niego, tylko zwolna brzegiem posuwał się dalej. Byłby i drugi minął mostek, gdy w tem, na przeciwległej stronie, zobaczył kwiat śliczny, pąsowy, jakby gałązkę jagódkami purpurowemi pokrytą. Zapragnął go zerwać i swobodnie wstąpił na kładkę. Sułtan stał o kroków dwadzieścia pod drzewem i szczekał w górę, zwietrzywszy jakieś w gałęziach ukryte zwierzątko.

Feliks przebył połowę kładki, gdy deski nagle usunęły się na przeciwległym brzegu, i wraz z chłopcem z trzaskiem i pluskiem w głęboki i wartki wpadły potok. Chłopiec usiłował w ostatniej jeszcze chwili śmiałym skokiem brzegu dosięgnąć, lecz nadaremnie; Nie starczyły mu siły i z głośnym wykrzykiem pogrążył się w nurty, które nad jego zwarły się głową i poniosły go dalej.

Pływać nie umiał, pomocy nie było żadnej, zdawało się jemu, że jest zgubionym. Raz jeszcze na powierzchnię się ukazał i wrzask wydał trwożny — a potem znowu pochłonęła go woda, w szumiącą ciągnąc głębinę.

W tej chwili ostatecznej trwogi nagły zjawił się wybawca, który lepiej od ludzkiej pomocy tonącemu chłopcu przyniósł ratunek.

Bo na ten wrzask jego ostatni przyskoczył Sułtan w szybkim pędzie. Właśnie Feliks wynurzył raz jeszcze głowę i rękę z pod wody, i w tejże samej chwili rzucił się pies wierny w szumiący potok, dopłynął do tonącego i schwycił zębami kołnierz jego kaftanka. Uniósł go ponad wodę, dopłynął z nim do miałkiego na wybrzeży miejsca, a potem zawlókł go na murawę.

Następnie położył się przy nim i lizał go tak długo po twarzy i ręku, dopóki chłopiec się nie ocknął z omdlenia i szeroko rozwartemi oczyma, zdumiony powiódł w około. Przypomniał sobie niebezpieczeństwo, w jakiem zostawał i pieszczotami swojego obsypał wybawcę, które poczciwe zrozumiało stworzenie i wybuchem radości na nie odpowiadało.

— Skończyła się na dziś przechadzka nasza, mój Sułtanie — wymówił Feliks, głaszcząc go ciągle — suknie moje na wskroś przemokły. To i spieszmy do Zuzanny, by mnie przebrała co rychlej. Chodź. Sułtanie!

Feliks siły znowu odzyskał, powstał i szybko szedł naprzód. Nauczył się jednak ostrożności po tej swojej okropnej kąpieli, pierwej obejrzał mostek drugi, zanim na niego wstąpił. Przekonał się, że deski zaledwo dotykały brzegu i zanurzyłyby się zaraz, gdyby kto wszedł na kładkę. Pominął go zatem zdziwiony i pospieszył do trzeciego. Na trzecim i czwartym groziło mu to samo niebezpieczeństwo, co na drugim i pierwszym. Chciał deski poprzyciągać tak, jak leżały dawniej, ale siły jego były zasłabe po temu.

— A to nas uwięziono. mój Sułtanie — wyrzekł śmiejąc się do poczciwego towarzysza, który mądremi oczami tkliwie patrzył na niego. — Cóż ty poradzisz, stary przyjacielu? Czy poczekamy, aż nas z zamku szukać będą? A może przedostaniemy się poza sztachety, i nadłożywszy drogi, udamy się przez wieś do zamku.

Sułtan nie mógł oczywiście odpowie-

dzieć chłopcu, ale poszczekiwał i głowę ku ogrodzeniu wykręcał.

— Aha, rozumiem ciebie, Sułtanku! — rzecze znowu Feliks, kładąc rączkę na głowę nowoziemca. — Mamy się wydobyć poza sztachety. A do prawdy, że tak będzie najlepiej, bo może i nie prędko dostrzegą w zamku, żeśmy się gdzieś zapodzieli, a tymczasem mógłbym się w przemoczonych sukniach śmiertelnej nabawić choroby, zwłaszcza gdy chłód zawita. Pobiegniemy szybko, to i niespodziana kąpiel może nie będzie zbyt szkodliwą. Więc dalej naprzód!

Pies posłuszny, naszczekując wesoło, wyprzedził go zaraz. W kwadrans dobiegli sztachet żelaznych. Sułtan wdrapał się pierwszy i bez wszelkiego trudu. A Feliks, lekki i zręczny, łatwiej tę przeprawę wykonał jeszcze.

Po zrumienionych wierzchołkach świerków, buków i dębów poznał Feliks, że słońce zniża się już ku zachodowi. Ale jakkolwiek sam jeden w dużym znajdował się lesie, to jednakże nie obawiał się niczego, mając przy sobie Sułtana. Nowoziemiec byłby go przecie i od wilka obronił, chociaż w czasie lata nie potrzebował obawiać się tego. Bez troski i dobrej myśli udał się Feliks w stronę zamku, i nie doznawszy żadnej przygody, zobaczył po przechadzce blisko dwugodzinnej ojcowskie mieszkanie.

Służba powitała go z okrzykiem radości. Okrążyli go, całowali, pieścili; zanieśli chłopię do ojca jakby w tryumfie, który na jego widok, wyrwany z rozpaczliwego niepokoju, w namiętny wpadł zachwyt. Zbiegło się wszystko, co żyło w zamku; stary Sztajn i Zuzanna popłakali się na dobre.

— Ależ, ojcze, cóż się stało, żeście tacy poprzestraszeni wszyscy? — pytał zdziwiony Feliks ojca. — To przecie nie po raz pierwszy, żem spóźnił się trochę. Musiałem dziś drogi nałożyć, idąc przez las. Ale cóż w tem nadzwyczajnego?

— Och, dziecko moje, myśmy wszyscy myśleli, że ciebie nie zobaczymy żywego — odrzekł hrabia, tuląc chłopca do serca, jak gdyby go już na zawsze chciał w objęciu zatrzymać. — Gdy Sztajn powrócił, pytał się zaraz o ciebie i zatrwożył się niesłysząc, że nikt nic o tobie nie wiedział. I mnie straszna przejęła obawa. Wybiegliśmy wszyscy do parku, szukaliśmy ciebie, wołali. Spostrzegliśmy mostek leżący do połowy w potoku, lecz o tobie nigdzie śladu nie było. Przeraził nas domysł, żeś może utonął. Byłem w rozpaczy, i nie możesz mieć pojęcia o mojej boleści. A następnie, obok przestrachu, obok trwogi najokropniejszej, ogarnęła mnie i wściekłość, gdyśmy się przekonali, że wszystkie kładki były nie do przebycia. Domyślałem się naturalnie, że tu z rozmysłem zbrodnię przygotowano, by ciebie życia pozbawić. Bo wszakżeż prócz ciebie i Sztajna, nikt prawie w parku nie bywa. Nie znałem granic rozpaczy mojej i sądziłem, że ciebie już nie zobaczę.

— Nie wiele zaprawdę brakowało, ojcze, żem się nie utopił — odpowiedział Feliks. Gdyby nie mój wierny Sułtan, to i leżałbym na dnie potoku nie żywy. Gdym przechodził przez mostek, deski usunęły się nagle i wleciałem w strumień, wtedy Sułtan rzucił się za mną i wyratował mnie szczęśliwie. Przekonałem się, że mostki wszystkie równem groziły niebezpieczeństwem, więc przelazłem przez sztachety, Sułtan za mną, przeszliśmy przez las, i otóż jesteśmy, dzięki Bogu, szczęśliwie w domu!

Po tej opowieści Feliksa, rzucili się naturalnie wszyscy, by pieścić i głaskać Sułtana. Hrabia przyrzekł, że będzie o jego dbał wygody aż do końca życia. A potem wyrzekł:

— W radości naszej zapomnieliśmy o panu Albinie, który z kilku ludźmi szuka tam Feliksa jeszcze w parku i strumieniu. Poszlij po niego, mój kochany Sztajnie, niechaj wraca. —

— Pan hrabia pozwoli, to ja sam pójdę, powiadomię hrabiego Albina, — odezwał się Sztajn. — i pochylając się ku hrabiemu z cicha dodał: Nie powiem mu, że Feliks wrócił zdrów, tylko go poproszę, by pospieszył do pana hrabiego i zaniechał niepotrzebnych poszukiwań.

Hrabia spojrzał zdziwiony na Sztajna.

— Cóż to znaczy? zapytał. — Czemuż kuzyn mój nie ma zaraz wiedzieć, jakiemu Felcio uszedł niebezpieczeństwu? —

— Bo chcę hrabiemu Albinowi spra-

wić niespodziankę — odrzekł i dodał ciszej jeszcze i ostrożniej: — Może nie będzie miał sposobności by odegrał rolę niewinnego, jak to już nieraz bywało. —

— Cóż chcesz przez to powiedzieć? — zapytał hrabia nieco surowo.

— Chcę powiedzieć, panie hrabio, — odrzekł starzeć, — że mam w sercu swojem najmocniejsze przekonanie, iż nie kto inny, tylko hrabia Albin mostki popsuł: a była to na Feliksa połapka. —

— Niepodobna! wybuchnął hrabia, i aż się cofnął z przerażenia. — Albin, mój kuzyn! On miałby takiej dopuścić się niegodziwości? Niepodobna!

— Pozwól mi pan drabia działać, a przekonasz się z całego postępowania tego szanownego kuzyna, jakie to jest ziółko, gdy niespodzianie zdrowego zobaczy Feliksa, o którym sądził, że nie żyje. Przekonasz się, panie, że podejrzenie moje płonnem nie jest. Rozkaż pan ludziom, by nikt nic nie mówił. Sam pójdę po pana Albina, przywo łam go do pana hrabiego, wprowadzę go tu do pokoju, a zobaczymy jaką on zrobi minę, gdy Feliksa zobaczy nagle. Ale niech go samego ujrzy, a pan hrabia będzie tam w ciemnym gabiniecie i może całą na niego zwrócić uwagę, niebędąc widzianym.

Hrabia walczył przez chwilę z sobą. Nie zgadzało się to z jego szlachetnym charakterem, ażeby kogoś o występek podejrzewał, a jeszcze krewnego i o taki zamiar zbrodniczy! Przeniknęło go jednak, że może stary Sztajn niezupełnie się myli. Miłość ku synowi i obawa o niego przemogła nakoniec. Nie rozstał się całkiem z nadzieją. że Albin wyjdzie jeszcze z ułożonej przez Sztajna próby bez zmazy; gdyby jednak okropne stwierdziło się podejrzenie, to postanowił wtedy natychmiast oddalić niegodziwca i postarać się, by go uczynić nieszkodliwym.

— To idź że mój kochany, — wymówił do Sztajna, — idź po pana Albina, a ja zastosuję się do tego, coś doradził.

— Nie powiecie nic hrabiemu Albinowi, że Feliks znalazł się szczęśliwie, — odezwał hrabia do służby, — chcę kuzynowi mojemu zrobić niespodziankę, niespodziankę zupełną. A teraz odejdźcie. Chcę z Felciem sam pozostać.

Służba rozeszła się po zamku, a Sztajn do parku pospieszył, by Albina sprowadzić.

Albin i kilku ludzi cały znurtowali potok, sięgając aż na dno drągami długiemi, lecz naturalnie i śladu nie znaleźli żadnego W tem nadszedł stary Sztajn i hrabiego Albina do pana poprosił, który z nim pragnął mówić zaraz. Albin drąg porzucił, który sam dźwigał, i rzekł do drugich:

— Dajcie już pokój, moi kochani! Prąd tutaj właśnie jest zbyt gwałtowny, i poniósł drobne ciało Feliksa zapewne już daleko. Możemy jutro za dnia znowu dalsze robić poszukiwania. — Cóż porabia hrabia Robert? rzekł zwróciwszy się do Sztajna? — Czy uspokoił się nieco w swej rozpaczy?

Pan prabia przekonasz się sam — odrzekł Sztajn. — Zdaje mi się, że teraz jest spokojniejszy.

— Powinien pogodzić się z tym wypadkiem. Bo i na cóż przyda się jęczeć i płakać? Stało się i kwita! Zresztą był Feliks małym zuchwalcem i ladaco. Hrabia Robert byłby z nim wiele miał kłopotu.

Sztajn nic nie odpowiedział na te szyderczo brzmiące uwagi Albina i w milczeniu szedł za nim. Gdy stanęli w zamku, Albin wprost poszedł do komnat hrabiego Roberta. Sztajn w przedpokoju pozostał.

Albin wszedł do salonu, który jasno by oświetlony. W pierwszej chwili nie widzia nikogo. W tem nagle, wynurzył się Felik z poza ekranu wielkiego i powitał go minką najswobodniejszą:

— Dobry wieczór, stryjaszku!.

Albin zdrętwiał, pobladł śmiertelnie, oczy jego rozwarły się szeroko, jak gdyby z oprawy swojej wyskoczyć chciały.

— Do stu piorunów! syknął i zaci zęby. — Żyjesz? A ja.... Jakiż szatan cie bie wyratował? —

— Nie szatan stryjciu, tylko Sułtan Mój kochany, poczciwy Sułtan! — odpowie dział Feliks. — Czy nie cieszysz się, stryj ciu że żyję?

Albin nic nie odpowiedział, rzucił chłopczyka złowrogie spojrzenie i wybieg z przekleństwem na ustach. Zaledwo drz za sobą zatrzasnął, gdy hrabia z ciemneg wybiegł gabinetu, pochwycił dziecko w obj

cie i uścisnął go czule.

— Był stryj, ojcze — zagadnął Feliks — lecz wystaw sobie, że nie cieszył się wcale, widząc mnie zdrowym, i jakiś był zły, dziko patrzał, że mnie aż nastraszył.

— Nie lękaj się niczego, dziecię drogie — odrzekł ojciec. — Otaczają ciebie poczciwi ludzie, którzy strzedz ciebie będą od złego. Sztajn! — zawołał następnie głośno.

Sztajn nadbiegł i zobaczywszy bladość hrabiego i znękanie, zapytał troskliwie?

— Święty Boże, czy pan hrabia chory?—

— Nie, mój poczciwy — odrzekł hrabia — chory nie jestem, ale przerażony tak czarnem sercem, jakie w kuzynie moim odkryłem. Przyjacielu mój stary, podejrzenia twoje co do Albina są aż nadto usprawiedliwione. Gdy niegodziwy nagle zobaczył chłopca w pełni zdrowia i raźnego, którego chciał zgubić, to i zapomniał się w gniewie i złości i przestrachu tak, że spadła mu maska obłudy, i zdradził sam siebie i swoje zbrodnicze zamysły. Nienawidzę go z głębi duszy, pogardzam nim i mam do niego odrazę największą. Niechaj się wynosi co rychlej do swojego zrujnowanego zamku w Goczynie. Wyznaczę mu tysiąc talarów rocznej pensyi, ale pod waurnkiem, że w tej okolicy nie ukaże się już nigdy, że w Goczynie zamieszka i nie opuści go więcej. Jeżeli na to nie przystanie, to niechaj wynosi się natychmiast, a odemnie i jednego nie dostanie grosza. Powtórz mu to, Sztajnie! Skazuję go na wygnanie do Goczyna z tysiącem talarów dochodu, albo na sromotne z Sokolnicza wypędzenie, jeżeli na wyrok mój nie przystanie. Idź, powiedz mu to wszystko wyraźnie! Widzieć nie chcę go już więcej. Nigdy! Przenigdy! Jest to złoczyńca!....

Sztajn pokłonił się i wyszedł, by pańskie poselstwo spełnić.

Hrabia Albin przeraził się okropnie tem, co usłyszał.

— Cóż.... Cóż powoduje kuzyna mojego do tak strasznego wyroku? — jąkał się pobladły.

— Poszukaj pan hrabia odpowiedzi na to we własnem sumieniu — odpowiedział Sztajn tonem surowym i zimno. — Mogę tylko powiedzieć, że hrabia nasz przekonał się dowodnie, iż to pan mostki w parku urządziłeś tak zdradnie, by stały się pułapką dla biednego Felcia. Cóż mam panu mojemu odpowiedzieć?

Albin pobladł okropnie, ale usiłował zapanować nad sobą.

— Kłamstwo! potwarz niegodziwa! — krzyknął. — Muszę zaraz pomówić z hrabią Robertem, by z tego potwornego oczyścić się zarzutu!

— Pan mój nie chce widzieć się wcale z panem hrabią — odrzekł Sztajn stanowczo. — Masz pan tylko wybór, albo wyjedziesz do zamku Goczyn albo też zostaniesz bez względu wszelkiego wypędzony z sokolnickiego zamku. Wybieraj pan hrabia!

Albin strasznie zaklął.

— Skoro tak, to i nie pozostaje mi nic innego! — wymówił cały wzburzony. — Hrabia Albin Norman nie może jak żebrak i włóczęga tułać się po świecie. Przegrałem i wyjadę do Goczyna. Proszę to kuzynowi mojemu oznajmić.

— Mogę dodać, że pan hrabia bez zwłoki wyjedziesz? — zapytał Sztajn znowu, — Powóz zajdzie zaraz.

— Zaraz? Mam na noc wyjechać?

— Tak jest, panie hrabio. Pan mój wyrzekł, że nie chce z panem hrabią ani godziny pod jednym zostawać dachem.

— Dobrze!

Nie upłynęła jeszcze godzina. Powóz zajechał i hrabia Albin opuścił Sokolnicz, z nienawiścią gwałtowną w sercu i gorącą żądzą pomsty.

Pożegnanie jego było przekleństwem, którego jednak głośno wyrzeć się lękał.

II.

NIEDZWIEDZIARZ.

Mały zameczek Goczyn, stary, zaniedbany i w połowie już ruina, leżał o mil pięć od Sokolnicza, wśród lasu, i żadnej nie nastręczał przyjemności. O ćwierć mili była wprawdzie dość rozległa, porządna wioska świadcząca o zamożności mieszkańców, lecz sprzedana wraz z lasem, oddawna już przestała być własnością hrabiego Albina. Jemu pozostało się jedynie stare zamczysko, którego dzisiejszy dziedzić dóbr goczyńskich, nabyć nie chciał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

FR. HOFFMAN.

WUJ I SIOSTRZENIEC

Z niemieckiego wydania

PRZEŁOŻYŁ

STANISŁAW KUNASIEWICZ.

Motto:
Kto w Boga wierzy, nie lekceważy
Jego przykazań.

(Ciąg dalszy.)

"Tabliczka strzedz nas będzie — mówi Herkules pewny tego — Ginga bardzo potężna. Gdyby nieprzyjaciel nieustąpił przed tabliczką, trapić go będą różne nieszczęścia. Massa bezpieczny z tabliczką, jak we własnym domu."

Emeryk słyszał nie raz już przedtem, że mają się znajdować pomiędzy murzynami jakieś niby czarownice, którym murzyni przypisywać zwykli nadprzyrodzoną zdolność, władzę i siłę. Dotychczas uważał opowiadania tego rodzaju za bajeczkę, którą zwykły niańki opowiadać, obecnie więc mimowoli nasuwało się pytanie, czy też stara Ginga nie jest uważaną za taką czarownicę, a jakkolwiek i teraz niewierzył w jej nadludzką zdolność, władzę i siłę, mimo to jednak z większą już uwagą, począł oglądać tę tabliczkę. Czy stara Ginga oszustką jest, czy nie, zawsze ją czczą i poważają murzyni — rozumował Emeryk — a wiedząc o tem, postanowiła skorzystać z tej czci i poważania i stać się pomocą, w razie jakiegoś niebezpieczeństwa.

"Wierzą — mówił zwracając się do Herkulesa — że zamiary staruszki były najlepszymi, to też czy tabliczka pomoże nam lub nie, chcę okazać się wdzięcznym i wierzyć będę w moc jej zachowawczą dopóty, dopóki nieprzekonam się, że na to niezasługuje. Chodźmy Herkulesie!"

I poszli do pałacu, Herkules do mieszkania Emeryka, Emeryk zaś do wuja, ab go zawiadomić, że jutro wybiera się na polowanie.

"Idź w imię Boże — mówił pan Wanderstraten — a jakkolwiek dozorca Mikołaj także prosił, abym mu pozwolił jutro odwiedzić krewnych w Paramaribo, niewzbraniam ci ani odradzam. Tylko nie zabawiaj się późno w noc, gdyż i żołnierze opuszczają nas jutro raniutko, byłoby mi więc smutno, gdybym wieczorem nie miał nikogo przy sobie, z kim mógłbym pogadać."

"Dozorca wybiera się w odwiedziny, żołnierze wracają!" — powtórzył Emeryk, który niewierząc nigdy Mikołajowi, w tej chwili bardziej jeszcze zaczął go podejrzywać; — kiedy tak wuju możeby więc lepiej byłc, abym ja jutro pozostał w domu? dlaczego pozwoliłeś odchodzić żołnierzom właśnie jutro?"

"Niechcą w żaden sposób dłużej pozostać, Mikołaj zaś zapewnia, że niema najmniejszej obawy przed nieprzyjacielem — odpowiedział pan Wanderstraten — zresztą mniejsza oto, wymarsz ich niech cię bynajmniej niewstrzymuje. Idź Emeryku, idź jutro, a pamiętaj tylko, abyś z próżnemi torbami nie wrócił, bo stary wuj wyśmiałby cię wówczas."

Nie tak sądził Emeryk. Jemu zdawało się, że stosowniej pozostać w domu aniżeli iść, a to tem bardziej, kiedy i Stara Ginga i Herkules napomykali że nieprzyjaciel już wyszedł z kryjówek swoich. Niewspomnał

o tem przed wujem, aby nie wzniecać w nim dawnych obaw, a ten znowu niewiedząc o niczem, nieprzestawał doradzać i namawiać, aby koniecznie jutro wybrał się na polowanie. I Emeryk dał się też w końcu nakłonić nie przypuszczając, aby zaraz jutro mógł nieprzyjaciel wpaść do plantacyi, nikt bowiem dotychczas niewiedział, że żołnierze odchodzą, a nadto chciał Emeryk naocznie przekonać się, czy nieprzyjaciel wyszedłszy z kryjówek w rzeczy samej w gęstwinach wyczekuje tylko sposobnej chwili. Mając więc to wszystko na względzie, zdecydował się nareszcie wyjść jutro skoro świt, pod tym jednak warunkiem, że nikt o tem przedewszystkiem zaś dozorca wiedzieć niebędzie. Pan Wanderstraten przyrzekł dochować tajemnicy, a nazajutrz raniutko, zanim jeszcze słońce ozłociło wierzchołki drzew i szczyty gór, Emeryk i Herkules zabrawszy ze sobą dwa duże i silne psy wyszli w góry. Nikt niedostrzegł wychodzących, sen bowiem czuwał, aby ktokolwiek z pozostających nieotworzył powiek.

Długo szli milcząc. Emeryk myślał ciągle o chytrym dozorcy, po którym niemógł się spodziewać niczego dobrego, a noc rozpościerała czarną swą zasłonę po ziemi. Im bardziej zbliżali się do lasów, tem więcej ożywiał się Emeryk, aż w końcu i zagadał do Herkulesa.

Już zdala posłyszeli ryk jaguaru i lwa amerykańskiego u Indyan powszechnie nazywanego puma. Psy przestraszone tym okropnym rykiem, poczęły skowyczeć i cisnąć się do pana, ten zaś zdjął coprędzej broń z ramienia, aby w razie potrzeby gotowym być do obrony. Mnóstwo małp w pobliżu i oddali hałasowało niemile, świerszcze świerkały przeraźliwie, ogromne żaby skrzeczały, a prócz tego słychać było także świst jaszczurek, i syk dużych a może i jadowitych wężów spłoszonych stąpaniem myśliwych, i umykających z miękkich liściowych legowisk. Nie raz poczciwy Herkules powstrzymywał śpieszącego Emeryka, nie raz kazał mu stanąć. Czynił to zawsze, ilekroć zdawało się, że grozi niebezpieczeństwo, aby niepotrzebnie nie narażać się, i uniknąć takowego. Po chwili psy ujadając napadły jakieś dzikie zwierzę, które widząc, że niepodoła oprzeć się im kurcząc i wyjąc znikło w ciemnościach lasu. Mimo to Emeryk niemyślał o jakichkolwiek niebezpieczeństwach i dla tego też i niczego nieobawiał się. On, dziecię dalekiej Europy poił się i zachwycał teraz pięknościami tropikowej nocy, która w całej pełni swego majestatu otaczała go zewsząd. To powietrze przepełnione tysiącami zapachów, te gwiazdy rozsiane po firmamencie i lśniące jakby dyamenty w ciemnoniebieskiej a raczej czarnej oprawie, te miljony owadów świecących i przelatujących jakby błędne ogniki przez ciemności lasu i wtejże samej chwili znikających, to wszystko było dla Emeryka czemś dotychczas zupełnie nieznanem a tak cudownie pięknem, że w obec tych piękności musiał zapomnieć o niebezpieczeństwach, jakie im co chwilę grozić mogły.

Niebawem poczęło świtać, a noc pierzchać przed majestatem wschodzącego słońca, gwiazdki owe niby dyamenty poczęły blednąć, ryk dzikich bestyj, hałas małp, ćwierkanie, skrzeczenie, świst i ryk przycichły, a słońce wylawszy całe morze światła, odsłoniło powstającą ze snu naturę.

Wzrok Emeryka rozpieścił się teraz i rozlubował w grze tysiąca najróżnorodniejszych kolorów, która obecnie rozpoczęła się. Kiedy spojrzał wszędzie olbrzymie kwiaty z jaskrawą emalią lśniły się w cieniu drzew. Las sam budził niemniejszy podziw swą bujnością i obfitością. Tu ogromne drzewa machoniowe powiewając ładnym liściem zielonym zdawały się zapraszać pod dach, który zbudowały z gęstych liści gałęzi swoich, tam nęciły do siebie jakaranda i panokoka, gdzieindziej palmy, pizany i bignonie pełne pięknego, różowego kwiecia, jakby smukłe słupy pnące się do góry, wijące się z gałęzi na gałąź i w ten sposób tworzące najpyszniejsze okrycie. A pośród tego wszystkiego rozsiadła się królowa lasów mora, kolosalny pień królowej wybiegłszy jakie trzysta stóp w górę, patrzy z tej wysokości na swoje otoczenie, do niej jako do królowej tuli się całe otoczenie, a tak tuląc tworzy mimowolnie prawdziwie piękną grupę. Rośliny wijące pną się w górę, wspinając się na pniu królowej, a dosiągłszy wierzchołka pnia, owiły znowu wszystkie gałęzie a rozsiedliwszy się tam bezpiecznie, pu-

ściły na ziemię korzenie i w ten sposób utworzyły zarośl tak gęstą, że przeleźć przez nią potrafią li jedynie malutkie małpy. One też jedne kołyszą się na owych korzeniach puszczonych z wysokich konarów w ziemię, bo korzenie te tak silne, jakby grube sznury, opasały je więc ogonkami swymi, i chwieją się, poruszają, a ciekawie przyglądają nieznanym gościom, którzy milcząc kroczą naprzód zachwyceni tymi cudami natury. Lecz oto budzi się ze snu i reszta mieszkańców lasów. Pstre papugi, połyskujące pyszną, pierzastą emalią, ara lśniąca mieszaniną czerwonych, niebieskich i złotych kolorów, papuga o tęczowych barwach, zielona ara, pawuan z czerwonemi jak szkarłat skrzydłami pozawieszały się już na gałęziach i kołyszą się, w tem obaczyły naszych gości, popłoszyły się więc i krzycząc przeraźliwie pokryły się w zarośla; a w około na każdem kwieciu kolibryk ów istny różnokolorowy drogi kamyczek, skacze z kwiecia na kwiecie i wypija boski napój woniejący, aby się po śnie posilić, i kroplami perlącej się rosy dzióbok odwilżyć; poważny tunkan zagruchał już także dając znać, że się ze snu obudził, pirol ciekawie wyglądnął z gniazda, które usłał na podobieństwo i wzór woreczka, niezliczone tłumych dzikich gołębi już się także zerwały po śnie i lotem błyskawicy znikają przed oczami spoglądających za nimi gości. A cały ten przepych, z jakim przystroili się pierzaści mieszkańcy lasów bladł i niknął znowu wobec ogromnych rojów motyli, które rozpostarłszy skrzydła tuliły się do kwiecia, aby ową resztkę słodyczy, jaką pozostawił kolibryk wyssać, a potem odlecieć w odwiedziny do najwyższych wierzchołków drzew i użyć w ten sposób szczęścia wolności. Nadaremnem byłoby wszelkie silenie się na opis owych cudnych rojów motyli z niebieskiemi, zielonemi, złotemi i purpurowemi skrzydełkami, to też długo, czasami bardzo długo zatrzymywał się Emeryk, aby przypatrzyć się im, i wesołość ich i ochotę podziwiać, osobliwie kiedy usiadły na kwieciu, poczęły się kołysać i skrzydełka rozciągać, aby je za chwilkę zaraz, znowu złożyć.

"Ale co będzie z naszego polowania, kiedy Massa ciągle staje i patrzy¿" zapytał Herkules, dla którego wszystkie te cuda natury nie były niczem nowem, oglądał je bowiem już nie raz. "Kiedy słońce stanie pionowo, wtedy bardzo gorąco, czas więc już na polowanie, a Massa Wanderstraten śmiać się będzie, jak wrócimy z próżnemi torbami."

"Prawda, masz słuszność Herkulesie — odpowiedział Emeryk, zaledwie zdoławszy oderwać wzrok od tych cudów natury — prowadź więc, ja pójdę już za tobą."

"Teraz Massa musi powiedzieć, co chce strzelać — mówił murzyn — Herkules zna wiele dzikich zwierząt i tam zaprowadzi Massę, gdzie leżą jaguary, pumy, jelenie, tapiry. Wszystko znajdzie Herkules, skoro pójdzie szukać."

"Przedewszystkiem pragnąłbym zastrzelić kilka z tych pysznych ptaków" — mówił Emeryk, patrząc z zachwytem na niebieskiego arę, którego lśniące pierzaste okrycie wzbudzało w nim chęć zabrania go z sobą. Zmierzył się więc co prędzej, już nawet chciał wystrzelić, lecz Herkules powstrzymał go.

"Skoro strzeli, będzie huk — tłumaczył Herkules — a huk rozpędzi inne zwierzęta, a potem złe polowanie. Pstre ptaki później strzelać, dosyć ich tu jeszcze będzie, jak będziemy wracać. Po co nosić się z nimi po lesie?"

Emeryk przyznał Herkulesowi słuszność i dla tego posłuchał. Odjął broń od oka, zawiesił na ramię i rzekł: "a więc prowadź Herkulesie, pójdę gdziekolwiek zechcesz." Murzyn też nieociągając się poszedł naprzód. Idąc patrzał co chwila jak wysoko słońce stoi i niem kierując się, daleki od wszelkich obaw, przeciskał się przez zarośla. Krok w krok szedł Emeryk za nim.

Długo tak szli, już ich nawet ta droga nieco zmęczyła była, gdy dotarli do bagnistej niziny. Tutaj za pniem olbrzymiej sykomory wyznaczył Herkules Emerykowi miejsce, uważając to stanowisko za zupełnie bezpieczne. Teraz uważać — mówił — zaraz Massa posłyszy jaguara."

Naśladując ów głos, którym samica jaguara-samca przywabia, zdjął Herkules broń z ramienia i odwiódł kurki, psy zaś silnie

trzymał na smyczy, aby zawcześnie nie wypadły. Nie długo potem posłyszeli głuchy ryk jaguara w oddali i powolne skowyczenie z pomiędzy trzcin, któremi zarośnięte było bagnisko. Herkules słuchał uważnie i długo, nareszcie zawołał: "Nic z tego, mają młode, a więc strasznie dzikie. Samiec i samica to za wiele na nas, wracajmy!"

Emeryk wachał się. "Weź ty jedną bestyę na cel, ja wezmę drugą — radził — z podwójną zdobyczą wrócimy do domu, przecież nie chybimy, wszak jesteśmy pewni dobrego strzału."

"Tak do celu, ale nie do dzikich bestyj z czarnemi oczami i rozwartą paszczeką. Tu bardzo niebezpiecznie. Massa pójdzie ze mną gdzie indziej, tam strzelać będziemy do jaguara bez obawy o życie."

Emeryk dał się nakłonić, odejść jednak było już niepodobna bo zapóźno. W tejże samej bowiem chwili łamiąc i rozdeptując trzcinę wyskoczył zwierz dziki i zaryczał strasznie; psy obaczywszy nieprzyjaciela poczęły głośno szczekać i rwać się ze smyczy. Jak mógł, najszybciej, porwał Herkules za strzelbę, podniósł ją i wypalił prawie nie mierząc. Mimo to strzał niechybił, jaguar bowiem zaraz po nim wrzasnął straszliwie i upadł. Herkules spuścił natychmiast psy ze zmyczy, które wściekle szczekając rzuciły się na nieprzyjaciela. Zanim go jednak dopadły, zerwał się zraniony zwierz, a równocześnie zatrzeszczała trzcina ponownie i wypadła z niej samica wraz z dwoma małemi, które nie o wiele jeszcze większe były jak koty domowe.

"Nie strzelać — krzyknął Herkules — zgubieniśmy, jak strzał chybi."

Jeszcze nie dokończył gdy strzał padł, a samica kulą nietknięta z czerwonemi jak węgiel rozżarzony, źle więc bardzo wróżącemi oczami i szeroko rozwartą paszczeką, z której język krwi pragnący wyglądał, cała pieniąc się z wściekłości popędziła na Emeryka. W kilku skokach dopadła młodzieńca, a kiedy ten nadaremnie strzaskał strzelbę na jej głowie, powaliła go łapą i przygniotła sobą. Emeryk widział się zgubionym. Ale pomiędzy nim a śmiercią stał jeszcze wierny przyjaciel, ostrze noża jego błysnęło w tej chwili, poczem usłyszał straszliwy ryk, a tygrysica jakby piorunem rażona potoczyła się z niego.

"Dzięki Bogu, Massa żyje a bestya nieżywa," krzyknął z radości Herkules i zawrócił coprędzej do drugiego jaguara, który ostatkami sił odganiał psy, co go opadły. Spokojnie nabił strzelbę, zmierzył bacznie i przestrzelił głowę drapieżnemu zwierzowi. Kula trafiła w oko, przeszyła głowę i nieżywy padł straszny nieprzyjaciel.

Podczas tego zaledwie z biedą podniósł się Emeryk i powstał, ramię bolało go bardzo a krew płynęła z rękawa jakby ze źródła. Pobladł i oparł się o pień sykomory; a jednak mimo tych bolów jakie mu dokuczały, uśmiech zadowolenia igrał zawsze na ustach ilekroć tylko spojrzał na te dwie do niedawna jeszcze tak straszne bestyje, które w tej chwili już nieżywe u nóg jego leżały. Równocześnie obydwa młode jaguarzątka zaczęły psy pokonywać.

"Dobry i wierny przyjaciel ciebie — mówił Emeryk podając rękę Herkulesowi — jak i czem mam wynagrodzić twój czyn bohaterski?"

"Massa wynagrodził już dawno — odpowiedział murzyn — bronił Herkulesa przed dozorcą, a Herkules obronił go przed tygrysami. Tylko pchnąłem nożem w kark, a już bestya była nieżywą!"

"Zaprawdę pchnięcie to było mistrzowskie! — zawołał Emeryk — Bóg widzi, żeś zapłacił sowicie Herkulesie, coś był winien. Bądźmy więc nadal jeszcze bardziej szczerymi przyjaciołmi!

Herkules cieszył się i śmiał serdecznie a ilekroć zaśmiał się, białe zęby jego błyszczały jakby sznury pereł z poza koralowych ust. Szczerze uścisnął rękę, którą Emeryk ku niemu wyciągnął, przestraszył się jednak niemało, gdy tenże jęknął uczuwszy wskutek uścisku ból znacznie silniejszy. Dotychczas bowiem Herkules mniemał że twarz Emeryka jest bladą, w skutek przestrachu, a dopiero obecnie, kiedy z uwagą przypatrzył się białemu przyjacielowi spostrzegł, że ubranie jego potargane, a z rękawa krew cieknie.

"Boże, Massie krew płynie z rany — zawołał niespokojny — gdzie skaleczyła dzika bestya? I w okamgnieniu ściągnął

wierzchnie ubranie z Emeryka, a usunąwszy koszulę obaczył dwie duże rany na ramieniu i plecach od kłów jaguara. Przekonał się jednak, że kości naruszone nie zostały, ucieszył się więc tem bardzo, z takimi bowiem ranami — jak mówił — potrafi prędko dać sobie radę. Pobiegł też co prędzej za ziołami, któremi krew zatamować można, wyszukał, narwał, starł zębami, zrobił papkę i przyłożył ją do ran, następnie podarł koszulę myśliwską i kawałkami pozawiązywał rany, a niebawem poczuł Emeryk ulgę.

"Teraz wracajmy — mówił wierny murzyn — polowanie skończone i nie odchodzimy z próżnemi torbami. Massa musi siedzieć spokojnie, a niedługo będzie zdrów."

Zanim jednak wybrali się z powrotem, ściągnął Herkules ze zabitych tygrysów ładnie cętkowaną skórę i dobił obydwa młode, na pół już zagryzione przez psy. Poczem dopiero podawszy zranionemu Emerykowi ramię i podpieszając o ile mu tylko sił starczyło, poprowadził go do plantacyi pana Wanderstraten....

VII

Nieprzyjaciel.

Wspominaliśmy w prawdzie powyżej, że ból po zawiązaniu i zaopatrzeniu ran znacznie mniej dokuczał Emerykowi, mimo to jednak niepodobnem było spieszyć z powrotem, znaczna bowiem utrata krwi osłabiła go bardzo, a prócz tego słońce mocno jeszcze dopiekało, powracali więc całkiem powoli. Z tych równie przyczyn wybierał Herkules ścieżki jak najmniej uciążliwe, a ilekroć napotkał wysoki pagórek starał się obejść takowy, wiedział bowiem, że drapanie się po pagórkach nader byłoby przykrem dla Emeryka. Od czasu do czasu siadali także, aby odpocząć, wówczas spieszył Herkules do źródła i przynosił wodę, którą zwilżał spalone usta białego przyjaciela a zarazem chłodził ową trawiącą gorączkę, jaka pojawiać się zwykła po każdej silnej utracie krwi. Słońce poczynało się już nawet chylić ku zachodowi, a obydwa przyjaciele uszli zaledwie połowę dopiero drogi.

W tem psy odezwały się raptownie, a w powietrzu poczęły latać ze świstem strzały i przerażający krzyk rozległ się w około. "To nieprzyjaciel — zawołał przestraszony Herkules — dzięki Bogu że strzały nas nie trafiły! Zatrute one niezawodnie!"

Zaledwie domawiał słów tych, zatrzeszczały gałęzie i cała zgraja czarnych nieprzyjaciół z podniesioną bronią obskoczyła ich zewsząd, grożąc obydwom przyjaciołom, że ich zabije, ponieważ odważyli się wtargnąć w ich obręb.

"Talizman od Gingi! — zawołał Herkules — zwracając się do Emeryka — bez tabliczki Gingi obydwaśmy zabici!"

Emeryk wydobył ją więc coprędzej, a Herkules odebrawszy podniósł wysoko w górę i przemówił słów kilka językiem murzynów do nieprzyjaciela. Niezwłocznie potem pospuszczali murzyni podniesioną broń, a groźne ich miny złagodniały, jeden zaś z pomiędzy całej zgrai, który miał na głowie koronę z różnych piór ptasich, a więc prawdopodobnie był jej naczelnikiem, wystąpił naprzód i począł oglądać tabliczkę dokładnie.

"Biały zostaje pod opieką Gingi? Dobrze więc — mówił — biały pójdzie, ale czarny zostanie, aby nie był dłużej niewolnikiem białego!"

"On nie jest moim niewolnikiem — odpowiedział Emeryk — Herkules jest wolnym, i moim przyjacielem!"

"Przyjacielem białego Massy? — zapytał drwiąco naczelnik — prędzej uwierzyłbym, że słońce czarne, jak takim kłamstwom."

Herkules, który dotychczas milczał objął w tej chwili Emeryka, przycisnął do piersi i ucałował, a na widok tego poczęli murzyni cisnąć się do nich zewsząd, krzycząc radośnie i patrząc ze zdziwieniem na tych dwóch młodzieńców w uściskach, z których jeden był biały, a drugi czarny.

"Biały Massa mój przyjaciel! — mówił Herkules — darował mi wolność i ziemię i ochronił od harapa i dozorcy. Kto jego chce zabić, musi Herkulesa najprzód zabić! Herkules nieopuści przyjacielu, chodzi z nim i umrze z nim."

Z uśmiechem na ustach przybliżył się teraz naczelnik dzikiej zgrai do białego Massy i podał mu rękę. "Kiedy biały Massa przyjacielem niewolników, to nie potrzebuje talizmanu Gingi. Wolnym jest. Chodzić może, gdzie mu się tylko podoba. Zostaje pod strażą Banu. Polować może, Banu przeszkadzać nie będzie białemu Massie, a tylko go, strzedz. Weźcie te pióra Jak Massa założy je za kapelusz, nikt go nie zabije."

W tej chwili wyjął naczelnik czarnej zgrai trzy pióra ze swej korony i wsadził je własną ręką za kapelusz białego młodzieńca. Poczem kiwnął na swoich podwładnych, by się usunęli, rozkazał, aby młodemu Massie niedokuczyli i uścisnął rękę Emeryka i Herkulesa na pożegnanie. Emeryk podziękował naczelnikowi kilkoma słowy, podwładnym zaś rzucił garść całą srebrnych pieniędzy i odszedł pośród radośnych okrzyków czarnych. Opierając się o ramię Herkulesa szedł powoli, krok za krokiem, a na sercu było mu jakoś bardzo lekko.

"Podziękuj Gindzie — odezwał się po chwili kiedy już sami tylko byli — podziękuj Herkulesie, uszliśmy bowiem wielkiego niebezpieczeństwa!"

"Niezawodnie byliby nas zabili bez talizmana — odpowiedział murzyn — nawet Herkules bez tabliczki nie byłby był ochronił białego Massę. Bardzo dobrze, że Massa taki łagodny dla biednych murzynów, inaczej Ginga nie byłaby dała tabliczki, a wówczas Massę zabitoby."

W milczeniu szli dalej. Emeryk zastanawiał się nad pytaniem, które po tej scenie nasuwało się, czyby też pan Wanderstraten będąc świadkiem tego wszystkiego nakazał dozorcy Mikołajowi mniej ostro obchodzić się z niewolnikami? Następnie postanowił, o ile to tylko będzie w jego mocy, ciężką dolę czarnych uczynić znośną i w tym celu, zaraz po powrocie opowiedzieć wszystkie przygody dnia dzisiejszego wujowi. Szczerość jego czarnego przyjaciela, jego odwaga i poświęcenie się osobiste podczas napadu jaguarów i talizman Gingi, któremu zawdzięcza życie, wzbudzą przecież w panu Wanderstraten jakieś współczucie dla tych pogardzonych, a często i niesłusznie posądzanych nieszczęśliwych czarnych, skoro to wszystko czego dzisiaj był świadkiem i co przeżył jest niezbitym dowodem, że oni nietylko potrafią uznać każde dobrodziejstwo, lecz i odwdzięczyć się przy pierwszej zaraz nadarzonej sposobności.

Kiedy Emeryk zajęty takiemi myślami, w milczeniu, powoli, krok za krokiem powracał, ani razu nie spojrzawszy nawet na to co go otaczało, Herkules natomiast pilnie spoglądał na wszystkie strony, aby druga podobna niespodzianka znowu nie przestraszyła ich. Psy trzymał mocno na smyczy, i wypadać na przelatujące i przebiegające zwierzęta nie pozwalał, a do czego miały wielką ochotę po szczęśliwem pokonaniu jaguarów.

Powrót do plantacyi odbywał się więc cicho i spokojnie. Raptem zatrzymał się Herkules, pochylił głowę na bok i pogroził psom, które jak zdawało się coś zwietrzyli.

"Na ziemię, na ziemię!" szepnął Emerykowi, kładąc się coprędzej sam i ciągnąc psy za sobą "Tu za krzak Massa! ludzie jacyś w lesie, nadchodzą tutaj! na ziemię prędko!"

A że Emeryk nie miał wcale upodobania w zatrutych strzałach, które już po dwakroć na niego wypuszczano i od których te dwa razy jakoś szczęśliwie uchronił się, więć przycupnął coprędzej za krzakiem, który gęsto rozrósł się na bujnej ziemi. Przycupnąwszy, z całem natężeniem począł nasłuchiwać i w rzeczy samej posłyszał kroki i szelest opadłego liścia, poruszanego i przyciskanego podeszwami idącego. Szelest stawał się głośniejszym, kroki zbliżały się, niebawem z pomiędzy liści poczęła połyskać lufa od strzelby, a tuż zaraz nadszedł mężczyzna, w którym Emeryk ze zdziwieniem poznał Mikołaja, dozorcę niewolników. Omal że nie wykrzyknął, obaczywszy tak niespodzianie tu pośród lasu tego człowieka, który powinien był znajdować się zdala od nich w Paramaribo. Herkules jednak pochwycił go silnie za ramię i przyłożył palec do ust, zalecając milczenie. W ten sposób przeszedł Mikołaj mimo krzaku nie przypuszczając, że zaraz za nim siedzieli obydwa przyjaciele i za chwil kilka znikł

w gęstwie lasu.

Zaledwie odszedł, zerwał się Emeryk i zawołał: "Musimy pojść za nim! ani wątpić, że ten człowiek ma jakieś złe zamiary, bo nie bez powodu okłamał mojego wuja, jakoby z żołnierzami odchodził do Paramaribo. Dalej przyjacielu, musimy zniweczyć te złe zamiary. Jak to dobrze, żem prosił wuja, aby zamilczał o naszem dzisiejszem polowaniu. Bez tego niebylibyśmy wytropili dozorcę" Herkules siedział namyślając się, jakby nie miał zamiaru usłuchać wezwania Emeryka. "Tu siedzieć — przemówił nareszcie — jeszcze czas uchwycić Mikołaja, trza zgadnąć, czego on właściwie chce w tym lesie."

"Ależ wymknie się, skoro zaraz za nim nie pójdziemy!" zawołał zniecierpliwiony Emeryk.

"Nie obawiać się tego — odpowiedział Herkules — a na co psy i ich dobre nosy, jeżeli nie do odszukania śladów. Nie ujdzie. nam." Emeryk zapomniał o psach, zaśmiał się więc teraz usłyszawszy, jak przebiegle zamierza przyjaciel jego wyzyskać psi węch na korzyść swoją. Uspokojony nieco, usiadł obok Herkulesa i spojrzał na niego wzrokiem pytającym.

"Dozorca knuje zdradę, ani wątpić, — mówił tenże — wszystko jasne. On do Massy Wanderstraten mówił: niewyszedł nieprzyjaciel z lasów, niepotrzeba go i obawiać się, żołnierze więc mogą odejść. Żołnierze kosztują wiele, dlatego Massa uwierzywszy jemu, odesłał wojsko. A teraz niema żadnej obrony na plantacyi. Dozorca wie o tem, idzie do lasu wołać nieprzyjaciela. Mówi do niego:

"W domu Massy dużo złota i srebra, idźcie zabrać, jeżeli chcecie. Niemiejcie obawy, żołnierzy niema. Murzyni z lasów plądrują chętnie, pójdą więc, zrujnują plantacyę i dom, zabiją wszystkich i uciekną w góry zanim pomoc nadejdzie, a zlecą prędko jak błyskawica, o ja znam to."

"Ależ to niepodobna!" zawołał Emeryk z oburzeniem. "To byłoby haniebną zdradą! przecież mój wuj niczego złego niewyrządził dozorcy! nie, żaden człowiek nie potrafiłby być tak niewdzięcznym!"

"Dla czego nie. jeżeli ma w tem swoje cele?" zapytał Herkules. "Dozorca nienawidzi Massy Emeryka. Sam na nim zemścić się nie może, poszedł więc do nieprzyjaciela, ażeby on zabił młodego Massę. Dozorca pragnie zemsty i pieniędzy. On niebędzie czekać, aż przyjdzie nieprzyjaciel zabrać pieniądze. On je sam przedtem zabierze, pokryjomu wyniesie i w bezpiecznem miejscu ukryje. Potem żyć będzie jak bogaty Massa, kupi plantacye z niewolnikami, będzie sam trzymać dozorcę, palić cygara i nic nie robić, a dręczyć biednych czarnych. Ja znam dozorcę! ja wiem, jaki on chytry! Massa widzi, że Herkules ma słuszność."

Zapatrywania murzyna tyle miały prawdopodobieństwa, że Emeryk był prawie przekonanym i ani chciał wątpić, że Mikołaj knuje chytrą jakąś zdradę. "Cóż nam tedy uczynić wypada?" — zapytał. Wuja należałoby przedewszystkiem uwiadomić o tem i ochronić. Dajmy więc spokój dozorcy, nieśledźmy go lecz wracajmy co prędzej."

"Nie radzę tego!" odpowiedział chłodno murzyn. "Jak będziemy opowiadać Massie Wanderstraten, powie: wszystko nieprawda. Dozorca wierny. Źleście widzieli. Lepiej więc, ja pójdę za dozorcą Mikołajem i wyśledzę jego plan, a wówczas dopiero opowiadać będziemy, bo już wszystko będziemy wiedzieli. Massa tu zostanie z jednym psem ja wezmę drugiego, aby wyszukać dozorcę. Trza siedzieć cicho, Herkules kuty na wszystkie cztery. Hultaj nieujdzie mu. A jak będzie już wszystko wiedział, to będzie mówić do Massy i dopiero dozorca zgubiony. Massa tu zostanie spokojnie, Herkules niebawem powróci."

Dla bezpieczeństwa nabił murzyc obydwie dubeltówki i położył je tuż obok Emeryka, aby w razie potrzeby, gdyby zwierz jaki dziki zbliżał się mógł je z łatwością pochwycić i obronić się. Poczem pożegnał przyjaciela, psa jednego naprowadził na ślad i sam za nim poszedł szybko a ostrożnie, Emeryk zaś widoczną niechęcią sam pozostał. Niejedna już godzina minęła, a Herkules jeszcze nie wracał. I słońce już dawno skryło się za górami, a jego jeszcze niebyło. Emeryk począł się już o niego obawiać.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

PRZEŚLADOWANA

KROTOFILA W JEDNYM AKCIE DLA SCENY POLSKIEJ

EDMUNDA DRZEWIECKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Chciałbym aby mnie teraz zastał w tym błogim stanie. Jak jestem szczęśliwy, mógłbym spiewać o samych rozkoszach.... tylko.. (*nuci zasypia.*)

SCENA IV.

Wchodzi nieznajoma dama, elegancko ubrana, silnie zatrzaskuje drzwi za sobą i zasuwa je na rygiel.

Piotr (*we śnie.*)

Bogumile! Ty ośle jak możesz tak trzaskać drzwiami.

Dama (*zbliża się, kładzie mu rękę na ramieniu.*)

Panie, racz się przebudzić i spojrzyj na sprawcę twego przerażenia, który błaga cię o ratunek.

Piotr (*spojrzawszy na nią.*)

Dama.

O dziękuję panu serdecznie, że masz mnie za dobrego ducha!

Piotr.

Ja nie chcę żadnego ducha!

Dama.

Posłuchaj mnie pan!

Piotr.

Odejdź Syreno! Odejdź kusicielko, nie wódź mnie na pokuszenie.

Dama.

O pan jesteś okrutny! Ja szukam schronienia.

Piotr.

U mnie nie ma schronienia dla 20to letnich panien.

Dama.

Tylko na kilka minut.

Piotr.

Pani, mężatko, wdowo czy panno! potrzeba wiedzieć z kim masz do czynienia. Jestem nieprzyjacielem kobiet. Biada, tej która się w moje ręce dostanie. (*pauza*) Jakto, i pani stoisz nieporuszona? Nienawidzę wszystkich, kobiet! Ryszałaś pani wszystkich, nie wyłączając i ciebie.

Dama.

Przecież nie żądam, abyś mnie pan kochał.

Piotr (*d. s.*)

Rzeczywiście przecież ona tego nie żąda.

Dama.

Posłuchaj mnie pan chwilę, a nie będziesz mnie tak okrutnie nienawidził. Jestem sierotą. Dziś właśnie odwiedziłam przyjaciółkę mojej nieboszczki matki, spóźniłam się trochę i byłam zmuszoną sama powracać do domu. Na ulicy zaczepia mnie jakiś pan i mówi: Pozwoli pani abym ją odprowadził do domu "i poda e mi ramię" Dziękuję odpowiedziałam pójdę sama! "Do czegoż te korowody. Co pan sobie "myślisz" zawołałam. Myślę że pani "jesteś piękną, młodą i bardzo powabną "i dla tego nie odstąpię jej! "przyspieszyłam kroku, a on biegł za mną. Nareszcie przed domem, w którym się obecnie znajduję, rzekłam do niego — "jestem już w domu!" Ba odpowiedział z cynicznym uśmiechem, nie wierzę temu!" Wbiegłam do sieni, na pierwsze piętro, ten bezwstydnik za mną, nareszcie na drugie, dopadłam do drzwi, chwytam za klamkę — otwieram i oto znajduję się tutaj!

Piotr (*d. s.*)

No prawda, ona tu jest!.

Dama.

Widzisz pan na takie przykrości jest narażony człowiek, który nie ma nikogo na świecie, coby stanął w jego obronie. O pan nie pojmujesz jak to przykro, jak to boleśnie żyć samą opuszczoną.

Piotr.

No... kiedy pani tak przykro samej to dla czego nie przyjęłaś towarzystwa tego pana?

Dama *(groźnie.)*

Panie! Niespodziewałam się abyś i pan myślał i mówił podobnie. O! rzeczywiście aby skrzywdzić i schańbić biedną sierotę, do tego niepotrzeba wielkiej odwagi! (*wyjmuje chustkę z kieszeni i płacze.*)

Piotr.

No, tylko nie płacz pani zaraz. Tego nie lubię.—

Dama.

Któżby nie zapłakał, będąc tak nie,—winnie prześladowaną.

Piotr.

Pani więc jesteś jak to często w romansach piszą: Prześladowana niewinność. Nie masz pani z resztą żadnego zajęcia?

Dama.

Kształcę się na guwernantkę.

Piotr.

Tak? hm! hm! A gdybym i ja był tego samego usposobienia, co ten, który panią prześladował? Gdybym zawołał. "Witaj w jaskini tygrysa."

Dama.

O, wstrzymaj się pan ta myśl jest okropną. Ale nie, to być nie może Ta fizyognomia, te dobrocią tryskające oczy, kłamać nie potrafią. — Ja znam się na tem, uczyłam się frenologii.

Piotr.

Cóż to jest za zwierzę?

Dama.

Jest to nauka poznawania zdolności i charakteru człowieka z czaszki.

Piotr.

Czego też te kobiety uczą się w dzisiejszych czasach. A umiesz pani gotować cielęce nogi z pietruszką i placki piec na oleju?

Dama.

O nie znieważaj pan nauki, uczyń mi pan w tej chwili przysługę, za którą będę panu całe życie wdzięczna. Nauka moja powiada mi, że pan nie jesteś takim, jakim chcesz się pokazać! To piękne wysokie czoło (*dotyka się — Piotr się cofa,*) nie zawiera brudnych, poziomych, myśli. Te oczy zdradzają słodką dobroć i niewyczerpaną cierpliwość. Ten nos dosyć duży, trochę zaczerwieniony, świadczy o spokoju i szczęściu domowem, jakiego używasz. Te usta różowe mówią że są zwyczajne dobrego obiadu i butelki czerwonego wina! Cała postawa wyraźnie mówi, że nie jesteś takim nie! (*Piotr robi głupią minę.*) O mój panie, możesz wystraszyć inną dziewczynę twą tygrysią jamą, ale mnie nigdy! (*Obraca jego twarz do publiczności*). Tygrys tak nie wygląda.

Piotr *(n. st.)*

A to mnie pobiła, muszę z innej strony uderzyć (Przepraszam? Czego więc sobie pani życzysz?—)

Dama.

Ach, mój Boże, wszakże mówiłam już panu: Odwołuję się do pańskiej gościnności i proszę abyś mi pozwolił tak długo tu pozostać dopóki mojemu prześladowcy, który z pewnością na dole czeka nie sprzykrzy się i nie pójdzie tam skąd przyszedł.

Piotr.

I jak długo to potrwa?

Dama.

Tego z pewnością wiedzieć nie mogę zabawię tu czas nieograniczony.

Piotr.

A, tak jak Niemcy we Francyi. Bardzo nieograniczony ten ograniczony czas.

(Ciąg dalszy nastąpi.)